

KRYSTYNA MODRZEWSKA ur. 1919; Warszawa



Tytuł fragmentu relacji	Stare Miasto i dzielnica żydowska
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Stare Miasto i dzielnica żydowska

Stare Miasto i dzielnica żydowska

Tuż za Bramą Grodzką były tzw. antykwarnie, czyli antykwariusze, którzy zajmowali się skupowaniem i remontowaniem starych mebli. Starych przedmiotów, kandelabrow, lichtarzy z XIX, XVIII wieku, i jeżeli ktoś chciał sobie urządzić mieszkanie w jakimś stylu, to u nich. Mieli rzeczy biederajerskie, i starsze, mieli miniatury malowane na szkle. Mieli ozdobne szkło, nawet z okresu księstwa warszawskiego. Kiedy moi rodzice urządzali się w 1929 roku, to od nich trochę od nich zakupili, m. in. kandelabra z synagogi lub kościoła. I przyszła na pierwszą wizytę matka ojca, a że była zazdrosna nie wytrzymała i powiedziała: Pójdę na Żydy i też sobie taki kupię. Tzn., że tą dzielnicę sami Żydzi nazywali „na Żydach”. Tu mało kto z nie Żydów mieszkał. To się nazywało antykwarniami. Albo tu dalej, albo przy Bramowej był znany lubelski stolarz Finkelstain. To był meblowy, doskonały rzemieślnik. Wystarczyło narysować, a on wszystko znakomicie robił. Pracował jeszcze w czasie wojny. Zrobił ludziom wiele skrytek. Dalej idąc były jakieś materiały bławatne, nie pamiętam.

Potem dom na rogu Rybnej i Rynku. Tam był rodzaj zajazdu. Tam było dużo podwórze i jak gospodarze przyjeżdżali to mogli zostawić tam furmanki. Należało do Kopla Kenigsberga, który uchodził za najbogatszego i najmądrzejszego Żyda w Lublinie. Historia jego, którą kiedyś opowiadał mojej matce, była taka, że on na początku był domokrażnym handlarzem i od wsi do wsi sprzedawał igły, nitki i guziki. Pochodził z Zawichostu. Na tych guziczkach dorobił się tego dużego domu [Rynek5]. On zgromadził największą prywatną bibliotekę w Lublinie. Przyjaźnił się z księdzem Zalewskim, który był znanym historykiem. Wymieniali się starodrukami. Był bibliofilem. One wszystkie spłonęły, a on zmarł w szpitalu w 1942 roku.

Bramy Rybnej nie było. W głębi była Rybna 4. To był dom rodziny Bachów. Miejska, żydowska rodzina. Ocalało kilkoro z Bachów. Wszyscy są za granicą. Potem zejście na Noworybną. Tam też mieszkały żydowskie rodziny. W większości wyginęli.

W Rynku pod numerem 11 znałam.... Widywałam często prostytutki jak chodziłam do koleżanki uczyć się do matury. Mieszkała w Rynku 11. Miałam do nich wielkie pretensje, że tak marnują życie. Zaczepiały głównie ludzi wiejskich. Gospodarzu, niech wujaszek pozwoli... tak zaczepiały. Były podmalowane mocno i miałam pretensje głównie o to, że są brzydkie i stare, i namolne. To

była bida z nędzą. Usługa kosztowała 50 gr, tj. tyle ile jeden obwarzanek u Chmielewskiego, 5 pączków u Ziemnickiego. Ich widok nie był przyjemny.

Hejnału nie pamiętam. Brama Krakowska była otynkowana. Obok był podejrzany bardzo hotel. Właściciel był znanym transwestytą. Hotel miał złą sławę. Nazywał się chyba Angielski. Do Victorii przyjeżdżali obywatele ziemscy. Pamiętam Starnawskich, jak przyjeżdżali synowie z matką.

Ulicę Szambelańską upodobali sobie malarze i artyści. Najpierw należał do ciotki. Potem ciotka podarowała go kuzynce w Genewie. Kuzynka zmarła i jej córka przywiozła go mnie do Uppsali. Tam kiedyś mieszkali jacyś szambelanowie, gdy przyjeżdżali na Sejmy do Lublina. Tam nie było sklepów. Tylko tyły i fronty mieszkań.

Jak się schodziło na Nową, to najpierw był sklep Dmowskiego skład apteczny polski. Potem był jedyny delikatesowy sklep żydowski. Duży. Estery Rubinstain. Tam można było dostać, takie delikatesy, jak na Krakowskim Przedmieściu u Radzymińskich. Duży sklep, ale chodziło się do Radzymińskiego, bo się znało właściciela. To było małe miasto i wszyscy się znali. Na Nowej był cały rząd sklepów ubiorów gotowych. Głównie dla chłopów na raty. Bo wieś przed wojną nie wyglądała, jak dzisiaj, że przed każdą chałupą samochód stoi. Krawiec, jak był uczciwy, to zapisywał uczciwie, ale byli też tacy, o których się wiedziało, że kogoś oszukał i po 13 ratach mówił, że to dopiero 12. Chłopi nie mieli wtedy pojęcia, żeby sobie notować ile zapłacił. To byli drobni krawcy. [- A skąd pewność, że chłop przyniesie raty?] – Jeżeli nie oni chłopca oszwabili, to chłop chciał mieć jak najszybciej z głowy i szybko płacił. Pamiętam, jak pewna rodzina pod Lublinem kupiła szafę u Żyda na raty. Wcześniej mieli wszystkie rzeczy w skrzyni. Tu gdzieś na Bramowej. I nie mogli złożyć tej szafy, bo były nie pasujące do siebie części. Żyd pokazał im ładną szafę, ale sprzedał co innego. Bubel. I taka nie domykająca się szafa została. I w czasie wojny, ta wieśniaczka, dobra kobiecina mówiła. Wszystkich mi żal, ale tego Żyda co mi tę szafę wtrzyił to mi nie szkoda.

Na Nowej, na Lubartowskiej i na Świętoduskiej zaopatrywała się głównie wieś i tam były raczej tanie rzeczy. Na Świętoduskiej były zajazdy. Tam nie było noclegów, tylko jak się przyjeżdżało furmanką w dzień na targ, to można tam było zostawić wóz. Jak się przywoziło nabiał, warzywa, drób. Tu widać. Mały, wąski trotuar i gęsiego suną ludzie. To nie był spacerowy trakt, tu przychodzili ludzie, którzy zaopatrywali się w produkty. Polnym kamieniem brukowane. Nowa 11 należała do rodziny Kwapiszewskich. Zasadziła mieszczańska rodzina. Polacy. Syn był architektem, a córki dwie były malarkami. Zofia Kwapiszewska uczyła mnie, była jednocześnie społeczną działaczką, harcerką, itp. Taki pasy oznaczają inwalidę wojennego, czyli miał ulgi podatkowe i pozwolenie na sprzedaż towarów z akcyzą. Honorowano w ten sposób zasługi wojskowe. Na sklepy z papierosami mówiono trafika. Tu jakieś „Pokoje umeblowane”. Strach pomyśleć. Tu można było być zjedzonym przez pluskwy w jedną noc. Zatrzymywali się w takich miejscach różni handlarze drobni, komiwojażerowie z towarem. Tu się wietrzą chyba bety z tych pokoi. Widać tu pełno ludzi. To nie był spacerowy trakt. Tu się handlowało i robiło interesy. Poznałam tą dzielnicę dopiero w pierwszym roku okupacji, gdy nas 15 grudnia wyrzucili z domu i dostałyśmy pokój w szpitalu, gdzie ojciec był dyrektorem przez ostatnie 5 lat. I nie pobierał pensji, bo szpital był bardzo biedny. Utrzymywała go gmina. Nie miał żadnych państwowych subsydiów. Z tego tytułu miałyśmy tam przez jakiś czas pokój i wikt.

„Kamienica Sobieskich” – dom Wieniawskiego przy Rynku Chodźmy do Wieniawskiego. To jest ta słynna ich kamieniczka Sobieskich w Rynku. Ojciec Wieniawskiego nazywał się Tobiasz Helman.

Rodzina pochodziła z Wieniawy i dlatego przyjęli to nazwisko. Rodzina przechrzciała się już jako dorośli ludzie, po tym, gdy Tobiasz Helman dostał dyplom lekarza. Nim, jako młodym zdolnym chłopakiem zainteresował się Stanisław Staszic i pomógł mu dostać się w W-wie na medycynę. On skończył medycynę i jednocześnie filozofię i ożenił się. Pierwsza żona była frankistowskiego pochodzenia. Był taki fałszywy mesjasz. On miał wielu synów. Interesowałam się ostatnio ludźmi o nazwiskach pochodzących od nazw miejscowości, stąd tyle wiem o Wieniawskich. Zainteresowały mnie słowa Słonimskiego: Nie masz, już nie masz żydowskich miasteczek. Ja twierdzę, że są przechowane w nazwiskach.

Radion? Prawdopodobnie sprzedawano tu baterie. Rynek 11. Tu biegałam do koleżanki. Nazywała się Zofia Gryzolet [Zofia Weiser]. Jej pierwszym mężem był jeden z Bachów. Po maturze oczywiście. I tutaj widywałam te panie lekkich obyczajów. Ona przetrwała wojnę we Francji, wyszła tam drugi raz za męża. Byłam u niej. Jej rodzice mieli na Królewskiej duży skład ubiorów gotowych. Stamtąd brał się ten majątek. Więcej powinien wiedzieć Sznajdman, bo on tam wyrósł. To jest wymarłe miasto. Te sklepiki były maleńkie. Artykuły żelazne, obuwie. To wszystko, co było potrzebne wsi.

Na Królewskiej kupowało się lub stalowało buty u Adamczyka. [- Myślałam, że Adamczyk był koło poczty.] – Może później. Adamczyk był kierownikiem szkolenia chłopców. Koło poczty to pamiętam zakład szewski Romana Pułki Krak. Przedm.58. Przy magistracie były sklepy z pończochami. Mama kupowała mi tu fildekosowe pończochy, bo w szkole trzeba było mieć pończochy w prążki. Grube, bawełniane. Nie wolno było mieć ze szwem. Ze szwem były jedwabne, zapinane na sprzączki. Mnie to nie interesowało. Zawsze nosiłam podkolanówki.

Szambelańska, jacyś chłopcy i gospodarz zostawił wóz. Jak się przyjeżdżało to się szukało gdzie taniej i bezpieczniej. Przywoziło się kapustę, ziemniaki. Pamiętam kiszzone jabłka doskonale. W domu szatkowało się kapustę. Na ulicy Zamojskiej pożyczano się szatkownicę. Szło się po nią w dwie osoby. W domu czekały głowy kapusty. Największa przyjemność, to całe liście kapusty położone na wierzchu. Można było robić gołąbki z kwaszonych liści. Beczka musiała być dębowa i obstalowana u bednarza. Świetne. Jeszcze po wojnie, do śmierci matki w 1965 roku matka kisiła kapustę. Nogami się nic nie ugniatało. Na wierzch kładło się coś ciężkiego. Nikt nie deptał, a była bardzo dobra. Niestety nigdy się nie zajmowałam gospodarstwem bliżej. Na tych schodkach [w wejściach do kamienic] siedziały kobiety, w dużych chustach, z perukami na głowie. Miały kosze i sprzedawały bajgle, jabłka. Co kto mógł.

Przed wojną nosiło się kapelusze, suknie do połowy łydki. Szczytem mody co było? Nie mam pojęcia. Mówiąc o Starym Mieście mówię o ulicy Grodzkiej najdalej. Dalej nie miało się powodów schodzić. Tego nie pamiętam. Pamiętam tylko tuż za Bramą Grodzką drewniane rudery z galerijkami, koślawe przybudówki, ubicacje typu wychodek. Sprawiało to wrażenie dużej nędzy i zaniedbania. O nędzy wiedziałam od ojca, który wzywany do takiego pacjenta nie miał czasami odwagi wziąć honorarium, bo wiedział, że jeżeli weźmie 5 zł, bo tyle kosztowała wizyta domowa, to nie będą mieli pieniędzy na wykupienie recepty.

Data i miejsce nagrania	1999-05-01, Lublin
Rozmawiał/a	Marta Kubiszyn, Barbara Odnous
Transkrypcja	Marta Kubiszyn
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"